Należytość pocztowa opłacona gotówką.

Murzynek



Nakładem

Sodalicji św. Piotra Klawera

dla misyj afrykańskich.

Rok XVI. Listopad 1928. Nr. 11.

„Murzynek“ katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, czeskim, słoweńskim i węgierskim.

Prenumerata roczna 1·50 Złp., 1 M., 35 am. cts.

SPIS RZECZY. Mały Misjonarz. — Podróż do Afryki (ciąg dalszy). — Niedziela Anielci. — Poczta w Tanganice lat temu trzydzieści. — Pod znakiem zapytania! — Pochodnie Aniołów. — Łamigłówka i rozwiązania. — Korzyść duchowna.

Ilustracje: »O, matuś, żebym to i ja tak mógł zostać misjonarzem!...« — »Tak, drogie moje murzyniątka, idę już...« — Czarny listonosz.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

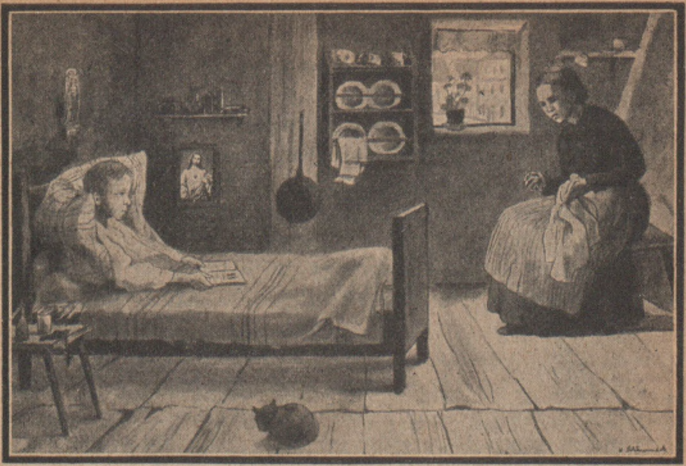
Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. — **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul. Zamkowa 19. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje). — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Bielsko:** Piłsudskiego 7. — **Łódź:** p. Ignacy Dubas, ul. Przędzalniana 55. — **Lwów:** p. Fedaszówna, ul. Sadownicka 89, albo p. Berezowski Józef, ul. Kurkowa 65. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — Adres Domu głównego: **Rzym,** Roma (23), via dell' Olmata, 16. **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 3624 West Pine Blvd. **St. Louis, Mo.**

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188. — Kraków 142.248. — Poznań 200.015.

OFIARY NADESŁANE

w miesiącu lipcu 1928 roku.
(w złp.).

Dla dzieci murzyńskich: Ks. W. Bogdan ze skarbonki 30.— zł.; M. Nizel ze skarbonki 13.—; Zakład WW. SS. Felicjanek im. św. Jadwigi 6.23; Z. Szramowa 5.—; J. Tomakówna ucz. gimn. SS. Benedyktynek w P. z festynu urządzonego dla panienek 30.—; B. Jasińska ucz. tegoż. gimn. 10.—; M. Wójcikówna 5.—; Ks. A. Latawiec od III kl. dziewcząt z Z. za-



»O, matuś, żebym to i ja tak mógł zostać misjonarzem!...«

Mały Misjonarz.

(Przez Matkę Salezję, O. S. B.).

W ciemnej suterenie leżał na ubogiem lecz czystem posłaniu mały Franio, jedyny synek wdowy Niedzielińskiej. W wychudłych, prawie przeźroczystych palcach trzymał numer „Murzynka", mocno już podniszczony, a zapadnięte głęboko oczy chłopca patrzyły marząco w daleką przestrzeń. Lekki uśmiech błąkał się koło wybladłych warg. Wtem zbliżyła się do łóżeczka chorego matka. Popatrzyła na ukochane dziecko, a widząc wyraz twarzy Frania, dziwnie jakoś uduchowiony, nie śmiała się doń odezwać, by mu nie przerywać błogiego dumania. Usunęła się cicho pod okno, zajęła robotą, czekając, aż ją chłopiec sam do siebie zawoła. Nie czekała długo. „O, matuś moja jedyna, zawołał za chwilę

Franuś głosem pełnym tęsknoty, matuś, żebym to i ja tak mógł zostać misjonarzem i ratować biedne pogańskie dzieci!“ Matka wstała, podeszła do łóżeczka ciężko cierpiącej dzieciny, a biorąc w swe stwardniałe od pracy dłonie chudą rączkę małego Frania, wyrzekła ze łzami w oczach: „Synku jedyny, i ty możesz być misjonarzem, chociaż w odmienny sposób niż ci wysłańcy Boży, zdążający w odległe kraje. I ty możesz tyle dla dusz robić, co i oni“. Roztworzył szeroko oczy chory Franuś, nie, nie, zupełnie nie rozumiał matki. „Jakże to matuś?“ — zapytał z gorączkowym pośpiechem. „Drogie dziecię, tłumaczyła kobieta, nie tylko pracy i pieniędzy chce Pan Bóg od ludzi dla nawracania biednych pogan. Przedewszystkiem domaga się ofiary, wyrzeczenia, cierpień, składanych mu w tym celu. One to głównie zniewalają Serce Boże do przyciągania łaską swą na łono prawdziwego Kościoła wielkiej liczby pogańskich dusz“.

„O, zawołał Franuś z błyskiem radości w oczach, matuś kochana, to więc i ja mogę ofiarowywać Panu Bogu wszystkie moje cierpienia za biednych pogan, być misjonarzem — małym chorym misjonarzem! Jak ja się cieszę! Zaraz dziś przedstawię się Panu Jezusowi jako jego mały misjonarz!“

Ciche łzy gorącej świętej radości potoczyły się po policzkach pobożnej wdowy na te słowa chorego jedynaka. Tak kochała tego swojego cierpiącego malca, dla którego — wiedziała dobrze — nie było wyzdrowienia, nie było ratunku! Tyle nocy spędziła przy jego łóżeczku, musiała patrzeć jak się męczył, a ona, matka, ulżyć mu nie mogła! Serce jej to tylko jedne jedyne miało

pragnienie: Żebym mu tak pomóc mogła! Suchoty, ta straszna choroba, wyniszczyły jednak już zbytnio delikatny organizm małego Frania. Toż i biedny jego ojciec, taki dobry, padł jej ofiarą. Nie było ratunku... Aż oto znalazła osłodę, słowa jej, codopiero wypowiedziane, opromieniły cierpienia chłopca radością i weselem, wlały moc do mężnego znoszenia wszelkiej boleści. Czuła to doskonale.

Spokojnie opadł chory chłopczyk na poduszki, leżał cichutko, rozmyślając nad tem, co powiedziała matka. O, taki był szczęśliwy! W tem podniósł się znowu, a trzymając jeszcze dłoń matki w swych drobnych chudych rączynach, zawołał: „Matuś, czy to są potem takie dusze-ofiary, o jakich mi opowiadałaś ostatniej niedzieli?“ Zdumiała się na takie pytanie dziecka pani Niedzielińska. „Tak, synku, odpowiedziała, to właśnie są dusze-ofiary. Pan Bóg koniecznie potrzebuje ich w świętym Kościele swoim. Najchętniej spełnia zawsze to, o co one go proszą; dusze te Mu są szczególnie drogie. Muszą jednak cierpieć dużo. Ale zato też nie odmawia im Pan Bóg niczego“.

Więcej jeszcze rozpromieniła się twarzyczka małego męczennika. Głosem nabrzmiałym radością rzekł: „Matuniu moja, to ja od dziś począwszy, chcę być też taką duszą-ofiarą, żeby Pan Jezus wszystko zrobił, o co Go poproszę. Odtąd jednak nie trzeba będzie płakać na widok, że ja dużo, dużo cierpieć muszę. Toć jestem małym misjonarzem, duszą-ofiarą, ratującą biedne pogańskie dzieci“. Wzruszona do głębi matka, ucałowała drogiego małego misjonarza; poczem wróciła do swojej roboty.

Od rozmowy tej upłynęły miesiące. Bledszy

jeszcze leży mały Franuś w łóżeczku, a i ono dzisiaj bielsze jeszcze niż zwykle. Bo dzisiaj, tak dzisiaj przyjdzie w odwiedziny do małego chorego misjonarza Boski Misjonarz, by go zasilić na daleką drogę do wieczności. Strapiona matka przygotowuje właśnie ołtarzyk, na którym za chwilę spocznie tak gorąco przez jej synka ukochany Zbawiciel dusz. Siłą wstrzymuje łzy cisnące się bezustannie do oczu. Dziecię jej drogie, jej Franuś jedyny, taki spokojny i radosny, z taką tęsknotą czeka na swego eucharystycznego Boga! Więc i ona powinna być silną, mężną, by smutkiem swym nie przysparzać dziecku cierpienia. Niech nie wie Franuś, ile ją ten wysiłek kosztuje.

Chory chłopczyk czeka; złożył rączki pobożnie na piersiach, duże, niewinne oczęta błyszczą tym szczególnym blaskiem konających, drobna pierś z trudem zaczerpuje powietrza.

Oto wszystko gotowe na przybycie Boskiego Przyjaciela maluczkich. Już też rozlega się dzwonek ministranta. Otwierają się drzwi ubogiego lecz schludnego mieszkanka i kapłan z Najświętszym Sakramentem wstępuje w jego progi. Oczy małego Frania świecą jak gwiazdy. Jego Zbawiciel, jego Jezus drogi, któremu jako mały misjonarz wszystkie swe cierpienia składał w radosnej ofierze, jest teraz u niego, przyszedł, by połączyć się z nim, wziąć w posiadanie serduszko, oczyszczone dnia poprzedniego ze zmazy grzechu.

Święta czynność skończona. Pan Jezus spoczywa w gorącem sercu konającego Frania, nóżki chłopca już namaszczone świętemi Olejami na drogę do wieczności. On sam leży cichy, zatopiony w żarliwej modlitwie, bledziutki, prawie

tak biały jak poduszka. Kapłan odmawia szeptem modlitwy za konających i tylko przytłu-



Tak drogie moje murzyniątka, idę już...

mione szlochanie biednej matki przerywa raz po raz świętą ciszę...

Aż nagle otwiera mały Franuś szeroko przymknięte oczęta, zapatrzył się niewzruszenie w jeden punkt, jakby w jakiś daleki niewidzialny przedmiot, zaczyna mówić żywo słabym głosem: „O, jak dużo małych murzyńskich dziatek idzie ku mnie! Teraz wyciągają ramiona, o, jak się uśmiechają do mnie, wzywają, bym do nich przyszedł! Tak, tak, idę już idę! — — Ale powiedzcie mi, skąd wy przychodzicie, kto was tutaj przysłał? — — — Ach tak, to Pan Jezus was przysyła, jak ja się cieszę! — Co mówicie, to ja wam zdobyłem niebo przez moje cierpienia, moje ofiary? To prawda? A przecież ja tyle znów nie cierpiałem! — — — Tak, tak, to prawda, jestem duszą-ofiarą, małym misjonarzem w łóżeczku! — O matuś, patrz! — zawołał naraz głośno — teraz wszystkie wyciągają swe czarne małe rączki po mnie, mam iść z niemi. Czekajcie, idę!" Mały misjonarz podniósł się z poduszek, zanim się matka spostrzegła, siadł na łóżku i patrzał, patrzał na to, co tylko jemu danem było oglądać w przedśmiertnem widzeniu.

Przejęty do głębi klęczał kapłan przy łóżeczku umierającego dziecka. Chłopczyk wyciągnął raz jeszcze wychudłe ramiona, zebrał resztki sił i zawołał donośnie: „Tak, drogie moje murzyniątka, idę już, pójdźmy razem do Pana Jezusa!" Poczem opadł martwy na ręce płaczącej matki. Odszedł do Królestwa Dobrego Pasterza, którego Serce niczego tak gorąco nie pragnie, jak wielkiej, jak największej liczby takich małych misjonarzy i misjonarek jak Franuś wśród tych, co według niezbadanych wyroków Opatrzności drogą cierpienia zdążają ku niebu.

Takich dusz-ofiar dla nieszczęsnej murzyńskiej pogańskiej dziatwy racz wzbudzić dużo, o Panie!

Podróż do Afryki.

(Z opowiadań kandydatki na misjonarkę).

(Ciąg dalszy).

Trzeba było jednak uzbroić się w cierpliwość aż do rana, aż statek wpłynie do portu; najlepiej więc zażyć jeszcze kilka godzin wypoczynku. O godzinie piątej zawinęliśmy do portu. Cała gromada czarnych wyczekiwała już na wybrzeżu, by okręt linami przymocować; przystawiono drabinę i wnet rozpoczął się ożywiony ruch, zwykły przy wysiadaniu zamęt, który jednak nam, nowicjuszkom, zdawał się tak obcy i niezmierne budził zaciekawienie. Szukałyśmy też wzrokiem wśród murzynów na wybrzeżu gromadki naszych ukochanych Sióstr. Ojciec Misjonarz z Matką Przełożoną i Mistrzynią nowicjatu czekali już na wybrzeżu na przybycie statku. Nastąpiły z obu stron serdeczne powitania. Załatwiwszy się z bagażem, pożegnałyśmy współpasażerów i okręt, który w ciągu tych czterech tygodni był dla nas domem.

Nazajutrz rano byłyśmy wnet gotowe do wyjścia. Miałyśmy z Matką Przełożoną przejechać tramwajem przez miasto. Widok tego pierwszego afrykańskiego miasta wprawił nas w podziw; zdawało nam się, że jesteśmy w krainie czarów. Miasto całe robi wrażenie wielkiego ogrodu, tyle w niem palm i kwiatów, a wszystko takie piękne, że trudno wymarzyć coś piękniejszego. Po mniejwięcej godzinie stanęłyśmy na dworcu. Dotąd trudno było doprawdy uwierzyć, że jesteśmy w dzikiej Afryce, gdyby nie czarne twarze, które się napotykało na każdym kroku, a które świadczyły wymownie, że ojczyzna na tysiące mil poza nami.

Kolej poniosła nas wreszcie w głąb afrykańskiej puszczy. Nie podziałała ona jednak na nas bynajmniej odstraszająco; przeciwnie, krajobraz jaki roztoczył się przed nami, obfitował w plantacje trzciny cukrowej, kukurydzy, kwitnące krzewy, palmy i bujną trawę.

Półtorej godziny trwała podróż do Werulamu, gdzie czkał na nas zaprzągnięty w 10 mułów kryty pojazd z dwoma czarnymi woźnicami z Oakfordu. Droga szła teraz po kamieniach i wertepach, z góry i pod górę, przy trzęsieniu niemiłosiernem, które jednak, dzięki malowniczym widokom, nie osłabiło naszego zadowolenia.

Po godzinnej jeździe wyłoniła się nagle przed nami stacja misyjna; podniecenie wzmogło się i dosięgło szczytu, skoro rozbrzmiał na powitanie srebrny głos dzwonów misyjnego kościółka. Jeszcze chwilę i stałyśmy ze łzami w oczach u furty klasztornej, gdzie się zebrały wszystkie Siostry, by najserdeczniej przywitać powracającą Matkę i Mistrzynię wraz z nowemi współpracownicami. Następnego dnia, gdy upał nieco ulżył, pozwolono nam bliżej zapoznać się z Oakfordem. Na samym początku udałyśmy się do klasztornej kaplicy, następnie do parafjalnego kościoła. Ze świętą czcią przekroczyłyśmy po raz pierwszy progi tego Domu Bożego, gdzie tylu poganom zwiastowano już Ewangelję św. Ze skromnego lecz ładnie ozdobionego ołtarza, spoglądała na nas dobrotliwie statua Serca Jezusowego. Zdawało nam się, jakoby Boska Dłoń Zbawiciela pragnęła udzielić nam szczególnego błogosławieństwa na rozpoczęcie misyjnego życia. Z sercem wezbranem wdzięcznością za pomyślną podróż i z prośbą o łaskę na dalsze życie uklę-

kłyśmy i ofiarowałyśmy się ponownie na służbę Panu Bogu i Misjom.

Następnie skierowałyśmy się do rzeki. Wzdłuż jej wybrzeży, jednakowoż w dość znacznej odległości, ciągnie się obszerny piękny warzywny ogród. Nieco wyżej znajduje się pralnia, duma i radość Sióstr; dopiero w roku ubiegłym wykończona i możliwie dogodnie zbudowana z przylegającą prasowalnią i miejscem do suszenia bielizny. Siostry utrzymywały, że obecnie zaliczyć można śmiało pranie do przyjemności w porównaniu z nader męczącym sposobem lat ubiegłych. Świeżo wybudowany most, którego wysokość nas cośkolwiek zadziwiła, poprowadził nas przez niewielki spokojny strumyk, wijący się z lekkim szmerem wśród wysokiej trzciny, plantacyj bananów i trzciny bambusowej. Ten tak na oko niewinny strumyk staje się podobno aż nazbyt często rwącym potokiem, niebezpiecznym dla całej okolicy. Słuchałyśmy z pewnem niedowierzaniem tego zapewnienia, lecz niestety miałyśmy się niebawem przekonać naocznie o smutnej prawdzie.

(Dokończenie nastąpi).

Niedziela Anielci.

(Przez W. O. Figueiredo, S. J., misjonarza na Madagaskarze).

Miłość Pana Jezusa dla maluczkich ujawnia się często w mej stacji misyjnej. Boski Zbawiciel czyni ich nieraz wymownymi apostołami...

Jest niedziela. Mała Anielcia, dziewczynka dziesięcioletnia, umie dobrze swój katechizm.

Pamięta doskonale, ile to razy i z jak szczególnym naciskiem powtarzał Ojciec misjonarz na nauce, że niedziela to dzień Boży, że uświęcić go trzeba wysłuchaniem Mszy świętej, że wstrzymać się wypada od wszelkiej niekoniecznej pracy ręcznej, tak zwanej pracy służebnej... Ojciec Anielci jednak, choć katolik, niewiele troszczył się o przepisy swej religji, zapominał lekkomyślnie o obowiązku, jaki ona pod ciężkim grzechem na każdego nakłada. Dla niego niedziela nie różniła się niczem od reszty dni w tygodniu.

I tej niedzieli także postanowił pójść zaraz od rana do pracy w polu, do uprawy manioku. Wychodząc z chaty, odezwał się od progu do żony: „Słuchaj, Raketak, nie wrócę na obiad do domu, praca moja przeciągnie się do trzeciej po południu. Przyślij mi więc posiłek przez małą Bozimawo (imię malgaskie Anielci)“. „Dobrze, dobrze!“ odpowiedziała Raketaka...

I zamiast pójść z Anielcią do kościoła na Mszę świętą, pozostała w domu, by przygotować posiłek dla męża.

Anielcia wróciła z nabożeństwa około dziesiątej, wesoła i żywa jak zwykle.

„Bozimawo — mówi matka — zaniesiesz teraz obiad tatusiowi, który pracuje w polu około manioku“.

„Jakto? — zdziwiła się mała — tatuś pracuje dzisiaj... Ależ to dziś niedziela“...

„Nie szkodzi — odpowiedziała matka — zanieś mu“...

Anielcia chwyciła koszyczek z jedzeniem i wyszła z chaty. Zamiast jednak podążyć na pole, na którem znajdował się ojciec, usiadła sobie blisko ścieżki, którą musiał przechodzić.

Około południa zaczął Rabemananjarze do-

kuczać porządnie głód, wyszedł był bowiem z domu naczczo. A ponieważ posiłek jakoś nie nadchodził, postanowił rad nie rad wrócić do chaty. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy tuż koło ścieżki, prowadzącej do wsi spostrzegł małą Anielcię, odmawiającą najspokojniej w świecie różaniec, przy niej zaś koszyk z obiadem, na który czekał napróżno.

„Co ty tu robisz?... Dlaczego nie przyniosłaś mi obiadu, Bozimawo?" odezwał się oburzony

„Tatuńciu drogi — odpowiedziała Anielcia swym dziecięcym głosikiem — dziś przecie niedziela... dzień święty, Boży... nie można w nim pracować... Chodź, siądź tu przy mnie, odpocznij trochę; a potem pomodlimy się razem"...

Zawstydził się ojciec, przyjął w milczeniu naukę odważnej córeczki — i już nie powrócił do pracy na polu...

Poczta w Tanganice lat temu trzydzieści.

(Ojciec Coulbois, z zakonu Ojców Białych).

Wieści z Europy dochodziły nas bardzo skąpe, a nieraz nie mieliśmy zgoła żadnych. Kurjer z listami przybywał co czwarty lub piąty miesiąc, a zdarzało się i tak, że przez 15 miesięcy byliśmy zupełnie odcięci od świata cywilizowanego, nie mogąc o sobie również nic donieść. Było to podczas zamieszek w kraju. Przeprowadziliśmy tedy taką organizację:

Układaliśmy się z pięciu lub sześciu tubylcami i im powierzyliśmy naszą korespondencję zaszytą we worek płócienny, zawieszony na rzemieniu przez ramię. Na worku wypisywaliśmy



Czarny listonosz. (Kenja — Afryka wsch.).

dużemi literami adres Ojca-prokuratora w Zanzibarze.

Krajowcy ci, odebrawszy pół płacy — resztę mieli dostać z powrotem — wyruszali w drogę z pocztą. Przez dziesięć dni z rzędu musieli forsownym marszem robić codzień 50 km. drogi wśród najróżniejszych przygód.

Musieli np. przebywać rzeki wpław. W takich razach płynący kładł sobie worek z listami na głowę — bywało jednak, że worek dawał nurka i dostawał się na drugi brzeg w stanie zatrważającej mokrości. Niektóre listy stały się wskutek podobnych wypadków niemożliwe do odczytania.

Po dziesięciu dniach nasi czarni listonosze powierzali worek innym krajowcom, którzy z kolei zobowiązani byli w przeciągu 10 dni przebyć dalsze 500 kilometrów. Pomiędzy Wielkiemi Jeziorami a Zanzibarem następował t. zw. „przeprząg".

Ten tak rzadki dopływ listów i zwłaszcza brak wszelkich nowin z Europy, sprawiał, że często niebyło już zupełnie o czem mówić.

Zato, gdy przybywał kurjer z Europy, nastawało prawdziwe święto. Tylko, że odrazu mieliśmy za dużo naraz do czytania, za dużo do odpisywania, tak, że dostawaliśmy poprostu gorączki. Głowa niezdolna była do żadnej intensywniejszej pracy, tak bardzo wyniszczył nas skwar i osłabiło niezdrowe powietrze tych podzwrotnikowych krain.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki" 30 listopada, w dzień św. Andrzeja Apostoła.

Pod znakiem zapytania!

Pisze Siostra Hellada ze Zgromadzenia N. M. P. Królowej Apostołów, na Wybrzeżu Kości Słoniowej. (Zachodnia Afryka).

„Chciałybyśmy móc przytulić pod naszym dachem wszystkie dzieci z całego Wybrzeża Kości Słoniowej; byłby to jedyny środek skuteczny zaopiekowania się niemi i prowadzenia ich ku Bogu. W najbliższym czasie przystąpimy do budowy sypialni i szwalni, ale pod znakiem zapytania!... Kropkę końcową położy Boska Opatrzność... Liczba naszych czarnych piskląt wynosi mniejwięcej 70. Cały ten mały światek kroczy szybko po dobrej drodze. W dniu Wszystkich Świętych przystąpiło 20 dziewczynek do pierwszej Komunji św., a na wiele z nich spłynęła przede Mszą łaska Chrztu świętego.

Przed kilku miesiącami została ochrzczoną dziewczynka trzyletnia. Czuła się tak szczęśliwą i w następne niedziele chciała mieć zawsze koniecznie swą białą sukienkę chrzestną; płakała tak rzewnie, że trzeba nam było ustąpić małej kapryśnicy... A posłuchajcie też na chwilę rozmowy kilku małych dziewczątek murzyńskich, zajętych przyrządzaniem obiadu lalce.

„Ugotujmy prędko i popędźmy do kaplicy pomodlić się do Pana Boga o chorą nogę Księdza Biskupa; ty powiesz: Panie Boże, uzdrów prędko nogę Naszej Wielebności (Ks. Biskup został niedawno ukąszony przez jadowitą żmiję). Dobry Pan Bóg nas wysłucha. Pobiegnijmy zaraz..." I otóż jak stado ptasząt pędzą i już są przed ołtarzem...

Mają pobożny zwyczaj, że po skończeniu

lekcyj idą zaraz do kaplicy, by przed Najświętszym Sakramentem pomodlić się za swych dobrodziejów.

Codziennie rano, jedna z Sióstr przy pomocy starszej uczennicy, opatruje chorych. Często muszą opatrywać rany wstrętne i odrażające, ale tą drogą najłatwiej dochodzą do ran duszy i wtenczas wszelka przykrość znika".

Pochodnie Anielskie.

Opowiedziane przez misjonarza z Wschodniej Afryki.

Bardzo ładne podanie opowiedział mi pewien Ojciec Misjonarz w 1917 r. podczas mej służby ambulansowej w wojskowych szpitalach Wschodniej Afryki angielskiej.

Ojciec ten w podróży karawaną dostał silnego ataku malarji. Wstrząsany dreszczami, kazał pośpiesznie ustawić namiot i rzucił się wyczerpany i drżący na całem ciele na swe liche łóżko polowe. Następnie polecił murzynowi, który pełnił usługi kucharza, by mu przygotował filiżankę gorącej herbaty. Poczciwiec usłuchał zaraz i przyniósł misjonarzowi napój, spoglądając na chorego smutnym wzrokiem.

— Widzisz, Ludwiku — odezwał się Ojciec — jestem bardzo chory. Może umrę daleko, bardzo daleko od tych, którzy mogliby czuwać przy mnie i nieść mi pociechę.

Ludwik odpowiedział na to: — Ojcze, gdybyś widział, ile dzisiaj wieczorem jest gwiazd na niebie!...

Misjonarz żdziwiony tak niezwykłą odpowiedzią, zapytał: — Czemu mówisz mi o gwiazdach?

— Mój Ojcze — odrzekł Ludwik — myślę, że gwiazdy to są pochodnie, które Aniołowie niebiescy noszą podczas nocy, by oświecać sobie drogę. Każdy Anioł-Stróż bierze wieczorem jedną gwiazdę, aby mu przyświecała, gdy idzie czuwać nad duszą, powierzoną sobie przez Boga. Dzisiaj wieczorem zaś, zdaje się, jest więcej gwiazd niż zwykle... Widać, że dużo Aniołów śpieszy czuwać nad tobą, dlatego, że jesteś chory i taki daleki od swoich...

Łamigłówka.

Ya	Ao	Yp	Z podanych liter utworzyć
rf	pl	la	3 nazwy, znane wszystkim
ak	ks		z geografji.

Rozwiązanie w następnym numerze.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 10.

Orzeł
Rak
Koń — **O r k a n.**
Arab
Niedźwiedź

W intencji naszych Prenumeratorów i Dobroczyńców odprawiają Biskupi i Misjonarze afryk. około 500 Mszy św. rocznie.

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito w drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarządem Leopolda Wójcika.

miast kwiatów na imieniny nauczycielki 11.70 i 2.50; M. Szlagorówna od wychowanek PP. Benedyktynek w P. 19.—; III i IV kl. szkoły im. Piramowicza w K. 10.—; IV kl. szkoły im. Mickiewicza w K. 5.—; Dworzańska 7.78; Idzikówna 10.—; Dzieci JWP. Popielowej 2 szyl. austr. i zł. 7.—; N. N. 6.—; Biernat 8.—; Witkowska 10.—; Hornowska 5.—; Ks Rechciński od Żywego Różańca dzieci i od siebie 13.50; p. Rajmanowa 5.—; Wojtaszewska 5.—; Matelska 5.—; z drobniejszych ofiar i bezimiennie zł. 80.26 i dol. 5.—; dzieci ze szkoły w B. 10.—.

„Liga dzieci dla Afryki“. Ks. M. Zdebski zł. 15.75; Końcówna z B. z loteryjki 10.—; uczniowie gimn. A. Mickiewicza w P. 16.—; z drobniejszych ofiar i bezimiennie 48.35.

Dzieci szkolne z Białki na katechizmy dla murzynków zł. 5.—.

Gimnazjum Jana Kantego w Poznaniu zebrało na Misje od Kółka misyjnego 13.50 zł.; Klasa III 9.30; Klasa III b 7.10 zł.; Klasa I 6.65 zł.; Dzieci szkolne w Słupi, kl. I i IV 3.34; Kółko misyjne Sodalicji Marjańskiej uczenic w klasztorze WW. SS. Urszulanek w Krakowie nieco bielizny, przedmiotów i 5.65 zł.; Liga dzieci ze szkoły 37 w Wilnie 10.29 zł.; Liga dzieci z gimn. Czartoryskiego 31.55 zł.; Liga dzieci ze szkoły I-szej 6.70 zł.; p. Kuleszanka od Ligi dzieci 5.60; p. Czechowiczówna od Ligi dzieci 5.05; gimnazjum SS. Nazaretanek ofiarowało znaczną ilość stanioli, zużytych znaczków pocztowych, obrazków, pocztówek i inne drobiazgi. Wszystkim młodym Przyjaciołom Misyj serdeczne „Bóg zapłać!“

Jeżeli kto dotąd jeszcze nie uiścił prenumeraty za rok 1928, niech to łaskawie uskuteczni w najkrótszym czasie, pomnąc, że dług tego rodzaju krzywdzi Misje.

Pamiętajcie też o duszach zmarłych!

Listopad poświęcony jest szczególnie modlitwie za dusze zmarłych. Nieopisane są męki, jakie one w płomieniach czyścowych muszą ponosić, ale największą z pomiędzy wszystkich jest ta, że pomimo najgorętszego pragnienia, Boga oglądać nie mogą.

Może i Wy, kochane dzieci, macie pomiędzy niemi drogich krewnych, dobroczyńców lub znajomych, którym pragnęłybyście przyjść z pomocą. Możecie to uczynić w sposób bardzo skuteczny, zapisując ich do **„Związku Mszalnego dla Afryki“.** Członkowie żyjący i dusze zmarłych zapisane do tego Związku biorą udział po wszystkie czasy w **300 Mszach św.** rocznie, które w tym celu odprawiają się staraniem Sodalicji św. Piotra Klawera.

Aby wpisać się do Związku mszalnego, wystarczy przesłać do Sodalicji św. Piotra Klawera jednorazową jałmużnę w kwocie 1 zł. (od osoby) pod jednym z adresów podanych na 2-giej stronie okładki